W NUMERZE:

Z redakcyjnej kuchni (kulturalne łamigłówki)
JÓZEF JACHOWICZ — Idzie o wielką sprawę (artykuł dyskusyjny).
JÓZEF JANOWSKI—Toporki kamienne w lecznictwie ludowym.
JACHSZARONI — Okruchy historyczno-literackie.
JERZY SIENKIEWICZ — „Dzień Matki" na wesoło
KRONIKA KULTURALNA

NOWINY TYGODNIA

SOBOTA 26. V. 1956 r. Nr 19 (315)

DODATEK SPOŁECZNO - KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH"

Rocznice Światowej Rady Pokoju

HENRYK IBSEN

(1828 — 1906)

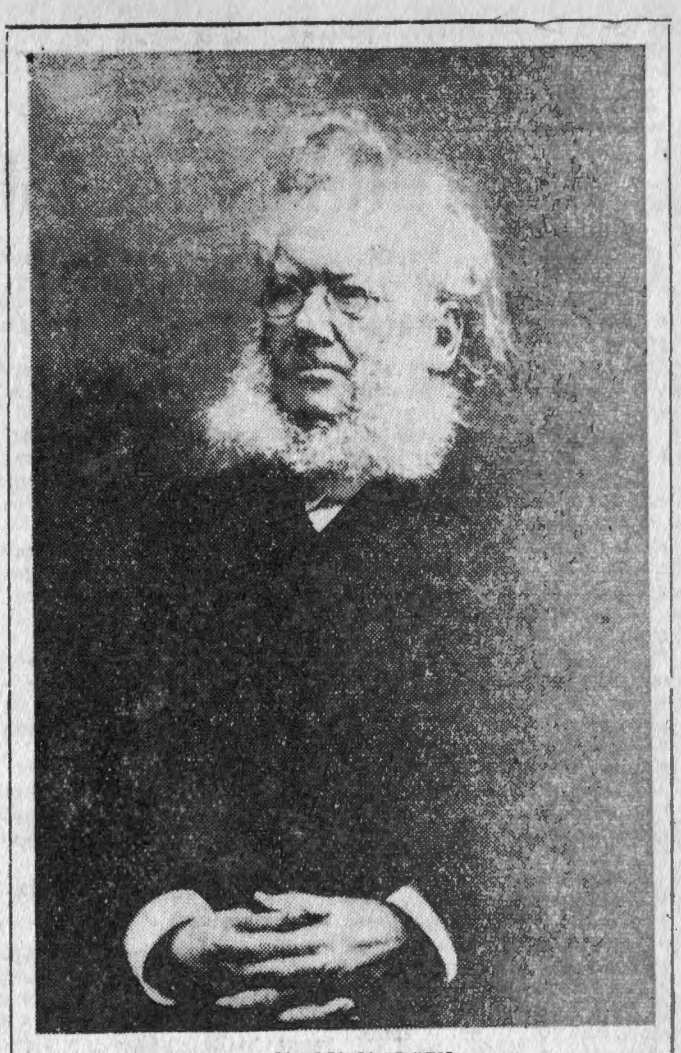

HENRYK IBSEN

TADEUSZ PAWLIKOWSKI słynny dyrektor krakowskiej sceny w jej świetnym okresie (1893 — 1899), był gorącym entuzjasta norweskiego dramaturga, Henryka Ibsena. Wystawiając jedną ze sztuk ibsenowskich, pragnął Pawlikowski wyjaśnić nieporozumienie, dotyczące sensu pewnego zdania. Ibsen wedrował wtedy po Europie, mieszkał w coraz to innym mieście, „nie pisał nigdy — jak mawiano — przy swoim własnym biurku". Dyrektor krakowskiego teatru wysłał więc telegram z poleceniem szukania Ibsena w różnych miastach i pod różnymi adresami. Zapłacił, oczywiście, sumę bardzo dużą. Istotnie, odpowiedź nadeszła, ale była bardzo krótka: „Interpretujcie moją myśl jak chcecie! Mam do was pełne zaufanie".

Ta anegdota ilustruje znaczenie, jakie na przełomie XIX i XX wieku przywiązywano u nas do teatru Ibsena. Nie tylko u nas. Bernard Shaw dał jednej ze swych pierwszych książek znamienny tytuł: „Podręcznik ibsenizmu".

Na czym polegało znaczenie Ibsena? Czym się ono tłumaczyło? I w jakim stopniu jest dziś jeszcze żywe? Warto sobie przypomnieć, że twórczość Ibsena obejmuje okres 50 przeszło lat. Pierwsza jego sztuka została napisana podczas Wiosny Ludów (1848); ostatnie — już na początku naszego stulecia. Ibsen towarzyszył swymi utworami ogromnym przemianom całej epoki.

Zaczynał w chwilach zarówno dla siebie jak i dla Europy — niezmiernie burzliwych. Przeżył w dzieciństwie wstrząs bolesny, który odbił się na całej jego twórczości. Pochodził ze znanej i zamożnej rodziny kupieckiej. Pewnego dnia ojciec jego zbankrutował tracąc cały majątek — a wraz z majątkiem stanowisko społeczne i poważanie. W tym bowiem kraju i w tej mieszczańskiej epoce majątek znaczył niemal wszystko. W niejednym utworze Ibsena odnajdujemy echa tego stanu rzeczy: od „Dzikiej kaczki" do „Jana Gabriela Borkmana". Nie mogąc znieść atmosfery klęski i upadku, jaka zapanowała w rodzinie, Ibsen ucieka, zdobywa posadę pomocnika aptekarskiego w innym mieście — a wieczorami przygotowuje się do wstępnego egzaminu na medycynę. Czy tylko się uczył? W zeszytach, zawierających jego notatki, zaczynają się pojawiać wiersze. Ibsen pisze romantyczno - patriotyczne utwory, przypominające dawne dni chwały norweskiego narodu.

Lecz nie tylko o własną ojczyznę chodziło młodemu poecie. Gdy w roku 1848 wyjeżdża do stolicy, by złożyć egzamin na uniwersytecie, ma już w teczce pierwszy swój dramat — „Katylinę". Spiskowiec rzymski został tu przedstawiony jako społeczny reformator; rzecz była na wskroś aktualna w dobie Wiosny Ludów. Lecz młody pisarz doznaje klęski na wszystkich polach, zostaje „spalony" przy egzaminie, teatry odrzucają „Katylinę", wydawcy też nie chcą ryzykować wydania jego utworów. Znalazł się wprawdzie szlachetny opiekun i przyjaciel, Schulerud, który pożyczył pieniędzy na druk „Katyliny", lecz sprzedano za ledwie 20 egzemplarzy; resztę trzeba było odstąpić na makulaturę! Ibsen poznaje wtedy smak nędzy. Mieszka we wspólnym pokoju i sypia z kolegą na jednym, twardym łożu. Pracuje przez pewien czas w pierwszym norweskim piśmie socjalistycznym. Lecz pismo to zostaje zamknięte, a redaktor naczelny skazany na ciężkie roboty.

Niespodziewanie ratuje Ibsena z opresji przyjaźń sławnego kompozytora i patrioty, Ole Bulla. Uwierzywszy w talent Ibsena wyrabia mu Bull w roku 1851 stanowisko reżysera i kierownika literackiego teatru w Bergu, a wkrótce potem — także i stypendium na 2-letni pobyt za granicą. Wydawałoby się, że droga jest już utorowana. Tym bardziej, że romantyczna tragedia „Pani zamku Ostrót" (1855) zapewnia Ibsenowi sukces.

Lecz niechęć i niezdolność do kompromisów narażają Ibsena na konflikty. W roku 1864 protestuje on przeciw zaborowi duńskiej prowincji Szlezwig - Holsztyn przez wojska austriackie i pruskie; a jeszcze mocniej protestuje przeciwko obojętności, z jaką owa napaść na bratni kraj skandynawski spotkała się w kierowniczych sferach Norwegii. Konflikt zaostrza się tak bardzo, że sztuka Ibsena „Pretendenci do tronu" zostaje potępiona. Mówiono wtedy, że Ibsen nie ma już talentu, a charaktery jego bohaterów są nacechowane podłością. W roku 1866 decyduje się więc pisarz na dobrowolne wygnanie. Kilkanaście lat spędza za granicą, na ustawicznej wędrówce.

Wtedy to właśnie powstają najciekawsze jego utwory; te, które mu zapewnią wpływ najsilniejszy. Każda sztuka podejmuje jakąś wielką i palącą kwestię; każda jest próbą rozwiązania czy przynajmniej ukazania jakiegoś zagadnienia.

Chodzi przede wszystkim o ukazanie prawdy o życiu społecznym. Napisany w roku 1877 utwór pt. „Podpory społeczeństwa" jest może najbardziej charakterystyczny. Dokonywa się tu przed oczami widzów — wielka rewizja wartości. Autor ukazuje, że autorytet moralny i finansowy głównego bohatera, powszechnie szanowanego konsula Bernicka, oparty jest na kłamstwie. Wystarczy jedno wyjaśnienie, by wykazać, że ludzie usunięci poza nawias są stokroć uczciwsi i lepsi niż ci, którzy są uważani powszechnie za „podpory społeczeństwa". Chodzi więc tutaj o zastąpienie fikcyjnych i zmurszałych „podpór" społeczeństwa prawdziwymi i trwałymi.

Ale i w innych sprawach próbuje Ibsen dokonać rewizji; sprawdzić rzekomo „nienaruszone" wartości. „Nora" ukazuje sytuację, w której wartościowa i szlachetna kobieta czuje się w typowo mieszczańskim małżeństwie, jak w sennym koszmarze. Nie dokonał się cud, na który czekała, szamocąc się w kręgu katastrof. Ta śmiała i poetycka sztuka wywarła ogromne wrażenie. Jeszcze dokładniej wypowie Ibsen swą myśl, gdy ukaże w „Kobiecie morskiej" sprawę duchowej niezależności kobiety. Dopiero wtedy wyzwoli się bohaterka spod rozbijającego jej życie „hipnotycznego" wpływu, gdy w atmosferze pełnej swobody decyzji własnym postanowieniem o sobie rozstrzygnie.

Sztuki Ibsena wywierają ogromny wpływ na umysły współczesnych. Ibsen staje się przedmiotem ostrych ataków. W tej atmosferze załamuje się nieraz i cofa. Chwilami zdaje się w jego twórczości zwyciężać myśl o „tragicznej samotności" wielkiego człowieka, jaką wtedy głosi prekursor egzystencjalizmu, Kirkegaard w Danii, a Fryderyk Nietsche — w Niemczech. W jednym z najświetniejszych dramatów ibsenowskich — w „Heddzie Gabler" — bohaterka zdaje się wyznawać ideał pięknego, zuchwałego, a z gruntu nieestetycznego czynu. Pamiętam jeszcze widzianą w dzieciństwie na krakowskiej scenie Irenę Solską, która w roli Heddy, wstrząsnęła widowania. Jej głos, sprawiający zrazu przykre wrażenie, nabierał tyle sugestywnej siły, że poprzez okres 30 lat powraca we wspomnieniach. Gorącym i nieraz zwycięskim, ale niemal samotnym obrońcą ibsenowskiego teatru był w latach międzywojennych Karol Adwentowicz, najświetniejszy u nas wykonawca roli Oswalda w „Upiorach".

Niespodziewanie zaczął Ibsen przeżywać w ostatnich latach swój renesans. „Nora" przeszła zwycięsko przez wiele polskich scen, zdobywając nie tylko sukces, ale i budząc żywy oddźwięk intelektualny. Zdaje się, że owa umiejętność podnoszenia spraw palących także i dziś przykuwa uwagę. W jednej z ostatnich swoich sztuk — „Janie Gabrielu Borkmanie" — ukazuje Ibsen klęskę przemysłowca - finansisty, który poświęcił najsilniejszą miłość swego życia dla opanowania bogactw całej okolicy i — jak sam o sobie mówi — runął w przepaść. Znalazła się tu krytyka ustroju, w którym żyć przyszło pisarzowi; zakwestionował on na pozór najsolidniejsze, a w istocie najbardziej wątpliwe jego podstawy.

Owa zdolność świetnego dramatycznego dyskutowania spraw i zagadnień, ukazywanie wielkich tragicznych powikłań — stanowią siłę Ibsena i każą nam na nowo przeżywać jego twórczość.

WOJCIECH NATANSON

ST. WYGODZKI

KSIĄŻKA RADZIECKA

TE Z NICH, które uskrzydlały i ukazywały przyszły, zmieniony świat, były drukowane na szarym, grubym, gazetowym papierze, z krzywo ściętym marginesem i tak zszyte, że natychmiast się rozsypywały. Już widok książki radzieckiej lat dwudziestych świadczył o trudnym dziele, o biedzie, w jakiej się rodziły i powstawały te utwory. Ale jaka była ich treść, jaka była ich problematyka, piękno które przemawiało z niezwalczoną siłą z owych szarych, grubych kart!

Przemycano te książki do nas, podawano potajemnie z rąk do rąk, witano je jak wysłanników odległego świata, w którym się dokonała zmiana na miarę światową. Był to jednak zarazem wysłannik, który uzbrajał: wieścił dobrą nowinę i uzbrajał w hart. Dlatego władcy ówczesnej Polski, władcy wszystkich krajów, pozostających poza zasięgiem władzy Rad Robotników, Żołnierzy i Chłopów przechwytywali te książki, konfiskowali, obwarowywali zakazem. Oni wiedzieli czym jest ta książka, tak bliska, polskim robotnikom o tradycjach rewolucyjnych: wiedzieli czym jest ta książka dla umęczonych rzesz ludzkich, które przebrnęły przez krew, gnój i fetor wojny imperialistycznej. Toteż książka radziecka ukazywała się u nas wbrew rządzącym, przeciwko nim: nawet gdy wydawali radzieckie książki mające rzekomo odstraszyć od rewolucji, utwory te obracały się przeciwko nim. Dla tej prostej przyczyny, że na kartach tych książek ożywał wielki wicher Rewolucji Październikowej. Wrogowie Związku Rad nie rozumieli, że walka proletariatu o wyzwolenie nie obraca się w kategoriach grozy i lęku: groza wojny, której sprawcą był kapitalizm i imperializm, była odrażająca i nieludzka. Rewolucja nie była dokonywana w imię zysków.

Pierwsze książki, mówiące o uprzemysłowieniu olbrzymiego Kraju Rad, musiały zastanowić wszystkich, którzy niedawno jeszcze widzieli nieprzebrane ludzkie rzesze idące lawiną, żelaznym potokiem przez klęski i porażki ku zwycięstwu okupywanemu krwią, cierpieniem i męstwem. Zmieniało się oblicze ludzi, zmieniał się kształt Kraju Rad, na którego czele niedawno jeszcze poeta Aleksander Blok postawił Chrystusa w asyście obszarpańców i nędzarzy, gotowych ponieść wszelki ludzki i nadludzki trud za ideę sprawiedliwości społecznej. Ale droga od „Dwunastu" Bloka do „Cementu" Gładkowa, to nie tylko kwestia zmienionego oblicza literatury i jej tendencji: nie tylko o zmieniony kształt piękna chodziło, i nie tylko o zmienione pojęcia o postannictwie sztuki pisania. W naszych oczach książka radziecka utrwalała surowo, bez afektacji, bez gromkich słów epokę, która się kończyła oraz tę, którą nieuchronnie nadchodziła. Radko bohaterowie radzieckiej powieści cytowali Lenina: gdzieś się wspomina o jakimś spotkaniu z Nim, gdzieś się pisze o echu, jakie wywołała Jego śmierć, lecz czy przez to książka radziecka przestała być tym czym była — wiernym towarzyszem radzieckich ludzi?

Bogata i wszechstronna, przez wiele lat bliska i prawdziwa, wzniosła i prosta zarazem — taka była kiedyś i taka pozostała w latach wojny wyzwoleńczej z faszyzmem. Taka była zarówno u Serafimowicza, jak i u Gładkowa, Majakowskiego i Gorkiego, Szołochowa i Fiedina, Lidina i Aleksego Tołstoja, Erenburga i Paustowskiego. Jej powodzenia nie da się porównać z poczytnością żadnej innej literatury: nie dlatego, że inne są kiepskie, liche lub marne. Nie tak spoglądamy na zdobycze kulturalne innych narodów. Literaturą mas uciskanych ludów, walczących o swe wyzwolenie, narodów pragnących zachować swoją narodową kulturę, swą suwerenność duchową — jest literatura radziecka: ludzka, prawdziwa, szczera.

Rysował: JERZY SIENKIEWICZ

Z redakcyjnej kuchni

KULTURALNE ŁAMIGŁÓWKI

CZYTELNICY przyzwyczaili się już do tego, że prasa przeważnie pisze o innych, rzadko natomiast o sobie. Jedną z takich nader rzadkich okazji jest właśnie okres „Dni Oświaty, Książki i Prasy".

Korzystając z tej sposobności chcemy zadać kłam wszystkim tym, którzy twierdzą nie bez zjadliwego uśmiechu: „o wszystkich to wypisują różne wszeteczeństwa, natomiast o sobie milczą jak zaklęci.

Oto nasz specjalny sprawozdawca sprytnie ukryty w obszernej a pustawej szafie redakcyjnej podsłuchał i spisał wiernie przebieg jednego z zebrań zespołu. Jeśli nawet do sprawozdania tego prześliznęła się niejedna, delikatnie mówiąc, metafora — wybaczcie o Czytelnicy. W myśl powiedzonka — „każdy orze jak może".

Okolicznościowa narada zespołu redagującego „Nowiny Tygodnia" upływała w serdecznej atmosferze wzajemnego zrozumienia. Na wstępie kierownik działu wygłosił zwięzły referacik (około 38 stron maszynopisu) na temat: „Zmierzch tzw. drętwej mowy w świetle ostatnich numerów „Nowin Tygodnia".

Po referacie kierownik wstrząsnął kolektywem, wzywając go do zdecydowanej walki z tą plagą naszego piśmiennictwa. Kolektyw odpowiednio wstrząśnięty, ustosunkował się nadzwyczaj entuzjastycznie do apelu kierownictwa. Na ogólne żądanie red. Stanisławy Dubyk zespół postanowił wyłonić specjalną komisję, która wyłoni specjalnego autora (albo zestaw autorów) który opracuje specjalne instrukcje, które pomogą różnym upartym miłośnikom drętwej mowy do zerwania ze zgubnym nałogiem.

Właśnie w chwili kiedy grono redakcyjne pochłonięte było całkowicie typowaniem owych obciążonych drętwą mową działaczy na niwie, do pokoju wkroczył aktywista ob. Mateusz Kwiczoł.

Aktywista Kwiczoł oświadczył bez ogródek, że: ogłosi w 45 pismach jednocześnie, artykuł demaskujący, że: primo — nie jesteśmy na poziomie, ponieważ wychyliliśmy się z pionu, secundo — piszemy w sposób irytująco leksykalny, tertio — że On, Mateusz Kwiczoł zna w Rzeszowie jedynego człowieka, który naprawdę zna się na kulturze — a my powinniśmy się zająć uprawą solonych ogórków oraz problemami kultury roślin oleistych i strączkowych.

Po tym oświadczeniu aktywista wzruszył ramionami, obruszył się wewnętrznie i rzekł do obecnego na zebraniu plastyka:

— Po co oglądacie obrazy Picassa zamiast oddać się pasji?

Co powiedziawszy aktywista Kwiczoł przeszył red. Stasię podejrzliwym wzrokiem, zaopatrując tę czynność komentarzem:

— Dlaczego wieszacie psy na nieobecnych, a sama nosicie drobnomieszczański kostium, w dodatku bez wieszaka?

Nie czekając odpowiedzi aktywista Mateusz Kwiczoł dostojnym krokiem wycofał się z pokoju, rzucając na odchodnym:

„A ja się nie boję".

Koleżanka Stasia ni stąd ni zowąd zaczęła nucić popularną piosenkę Gozdawy i Stępnia:

— „...taki śliczny — dydaktyczny walczyk..."

Dzięki temu zespół odzyskał tzw. równowagę i wrócił do problemu zasadniczego. Nie stety. Do pokoju wtargnęła nowa indywidualność. Niejaki obywatel Skorupa. Dzielny ów mąż przybył w towarzystwie traktatu pt. „O historycznych aspektach histerii jako czynnika kształtującego rozwój życia kulturalnego w Kaczych Dołach koło Kolbuszowej na obecnym etapie".

Do owego traktatu załączony był artykuł polemiczny pt. „A ja nie wierzę w dr Faula".

Na szczęście wizyta obywatela Skorupy nie trwała długo, jako że śpieszył się On na odprawę w sprawie sztuki Baituszisa pt. „Pieją koguty", która to sztukę ma zamiar wyreżyserować przy współudziale obywatela Kwiczoła oraz jednego z przodujących członków ochotniczej straży pożarnej.

Kiedy właśnie zespół wznowił dyskusję, zaterkotał telefon. Okazało się, że dzwonił jeden ze współpracowników, który chciał się dowiedzieć o losach swego artykułu o pewnych mieszkańcach osiedla w Rzeszowie pt. „Dlaczego wstydzicie się osobiście wynosić śmieci i czekacie na „cud nad śmietnikiem"?

Kierownik działu z właściwą sobie przytomnością zareplikował, że nic w przyrodzie nie ginie, a zwłaszcza artykuły o podobnie pasjonującej tematyce.

Na tym nie skończyły się jednak dygresje zakłócające normalny tok narady. Zjawił się jeden ze stałych czytelników i udowodnił nam czarno na białym, że „Nowiny Tygodnia" nie zajęły się dotychczas następującą tematyką:

„Nocne życie młodzieży w parku i na ulicach Rzeszowa". „Rola zrzeszenia adwokatów w walce o podniesienie poziomu kulturalnego, miast i wsi". „Dlaczego Wojewódzki Związek Spółdzielczości Pracy nie zajmuje się pracą kulturalną chociaż dysponuje dużymi funduszami na ten cel?". „Po co istnieje Oddział Kultury przy Prezydium MRN?" skoro nie ma on w sprawach kulturalnych „nic do gadania?". „Czy przeciętny człowiek pracy ma czas na rozrywki kulturalne?".

Wybaczcie, że nie wymienię wszystkich wymienionych przez stałego czytelnika braków tematycznych „Nowin Tygodnia" zapewniam że zostały one zarejestrowane w pojemnym notesie kierownika działu.

Zresztą przeszkodził mi w tej czynności znów telefon. Pewna młodziutka działaczka kulturalna wprowadziła w zakłopotanie cały zespół pytaniem:

„Czy miłość to też pewien rodzaj kultu jednostki?" Z tarapatów wybawił wszystkich jeden z najbardziej aktywnych współpracowników „Nowin Tygodnia" — Jerzy Pieśniarowicz, przewodniczący Prywatnego Stowarzyszenia Walki z Gadulstwem, a poza tym kierownik literacki Teatru Ziemi Rzeszowskiej i badacz historii teatru w ogóle, a Teatru Ziemi Rzeszowskiej w szczególności.

Przeprowadził on krótką i serdeczną rozmówkę z dziewczyną mającą wątpliwości natury nie tylko ideologicznej. Rozmowa telefoniczna trwała zaledwie kilka godzin, w ciągu których Ona nie doszła w ogóle do głosu.

Korzystając z odzyskanego, dzięki chwilowemu odwróceniu uwagi kol. Pieśniarowicza, prawa głosu, zespół przystąpił do omawiania zagadnień związanych z tendencjami surrealistycznymi, niektórych plastyków rzeszowskich.

Kol. Sienkiewicz udowodnił czarno na różowym, że nadrealizm jest jedną z narodowych cech Polaków. Jako dowód przytoczył fakt, że w czasie wielu meczów sportowych słyszy się ryk publiczności wołającej głośno: „Kalosz — kanarki dolć". A przecież nikt jeszcze nie widział, by ktokolwiek dolił kanarki, nie mówiąc już o kaloszu. Nie zrobiłby tego nawet zegarmistrz przy pomocy specjalnych śrubek i precyzyjnych instrumentów.

Spór o nadrealizm w sztuce rzeszowskiej przypieczętowany został listem nadesłanym do naszej redakcji przez specjalnego wysłannika ze spółdzielni „Metalsprzęt". List ten zawierał realistyczny utwór poetycki jednego z pracowników tej twórczej spółdzielni.

Poemat ten natchnął zespół uzasadnionym optymizmem Jest on bowiem dowodem, że „Metalsprzęt" poza twórcami portretów dostojników państw demokracji ludowej zatrudnia również utalentowanych poetów piszących poematy na każdą okoliczność.

Jeden z członków zespołu postanowił zwrócić się do „Siekacza" z „Metalsprzętu" z zamówieniem poematu na cześć jubileuszu ciotki obchodzącej pięćdziesięciolecie swej pracy na niwie ogródków działkowych.

Po tej poetyckiej dygresji, zespół wrócił do spraw bardziej ziemskich i zajął się omówieniem problemu czytelnictwa w naszym województwie. Zdania na ten temat były podzielone. Część zespołu przychylała się do opinii ob. Pluty z Mielca, która udowadniała, że przyczyną słabego rozwoju czytelnictwa wśród robotników jest chroniczny brak czasu i nawał spraw bytowych, inni natomiast obarczali wina za ten stan rzeczy działaczy oświatowych i kulturalnych — zarzucając im brak umiejętności propagowania dobrej książki.

W rezultacie zdecydowano przeprowadzić błyskawiczną ankietę w tej sprawie.

Kol. „Obserwator" zobowiązany został do przeprowadzenia analitycznej oceny sytuacji „na odcinku" czytelnictwa i opracowania projektu ankiety.

Uchylający się dotąd od zabierania głosu kierownik działu zajął się gorliwie opracowywaniem krótkich charakterystyk najbardziej czynnych współpracowników „Nowin Tygodnia". Korzystając z chwili nieuwagi wspomnianego już kierownika przywłaszczyłem sobie Jego notatki, dzięki czemu charakterystyki te ujrzały farbę drukarską.

Pitulanka. Urodziła się jak każdy. Od wielu lat dzieli swe serce między Teatr - Prasę i Przemyśl. Do Teatru i Prasy pchnęła ją żądza olśnienia tłumów czytelników fascynującymi recenziami z przedstawień „Fredreum" oraz chęć dokuczenia niejakiemu Czajkowskiemu. Gra w brydża i „totka". Kocha zwierzęta, zwłaszcza w stadium końcowym. Np. w stadium torebki.

Dr Tadeusz Stanisz. Wybitny pingpongista i znawca literatury związanej tematycznie z ziemią rzeszowską. Wielbiciel poezji Stanisława Piętaka i Bogusława Koguta. Jeden z najgorliwszych czytelników Woi. Biblioteki oraz jej dyrektor. Czyta Prousta i Tyrmanda. Jeden z nielicznych speców regionalnych, potrafiących odróżnić bezbłędnie folklor rzeszowski od krakowskiego.

Dr Franciszek Błoński. Urodził się przed laty. Okoliczności tej zawdzięczamy mnóstwo przeżyć związanych z czytaniem frapujących szczegółów z historii ziemi rzeszowskiej. Potrafi bez zająknięcia powiedzieć kiedy niejaki Zagłoba trabił miód w oberży pod Przemyślem, lub jaką wieś rzeszowską olśnił pan Wołodyjowski pojedynkiem w sobotę wieczór. Obciążony dziedziczną skłonnością do spraw kultury stał się nałogowym działaczem.

Władysław Misiewicz. Jego zainteresowania to przede wszystkim sprawy wychowania młodzieży, praca kulturalno - oświatowa w placówkach służby zdrowia oraz ryby. Podobno w 1958 roku złapał rybę. Dobre i to.

Jan Grygiel. Urodzony lingwista. Poeta. Pisze dużo i do rymu. W chwilach wolnych od pisania poematów pracuje jako pedagog. Posiada skłonności do sportu. Uwielbia żużel i Marię Dąbrowską.

Jachszaroni. Twórca Okruchów historyczno - literackich, ale nie należy mu tego wypominać.

Roman Prokulewicz. Wybitny bokser i takiż plastyk. Stoczył mnóstwo walk o Klub Młodej Inteligencji w tym jedną zwycięską. Wystawił swe prace w Muzeum, tudzież niejednego zleceniodawcę do wiatru. Kilka jego prac zamieściły omyłkowo „Nowiny Tygodnia". Ostatnio tworzy dzieło zatytułowane „Dr Faul i ja".

Z uwagi na nieczytelny charakter pisma kierownika działu nie udało mi się odtworzyć pozostałych charakterystyk. Na przykład z notatki o kol. **Wolańskiej**, zdołałem tylko rozszyfrować następujące zdanie — kobieta, której jeśli się dobrze przyjrzeć, posiada też swoje zalety.

Czyta namiętnie Przybosia, Pasternaka, Florczaka, Brandysa i Franciszka Grabowskiego. Niestety — pisze.

PS. Kol. Dubyk uparła się, by do sprawozdania włączyć jej zdanie na temat praktycznej więzi kultury z życiem codziennym. Dowodem tego jest między innymi fakt, że Dom Kultury WSK w Rzeszowie wystawił na cześć Miejskiej Komunikacji Samochodowej sztukę pt. „Gwałtu co się dzieje". Jeśli chodzi o przedstawienie szerokim rzeszom czytelników członków zespołu „Nowin Tygodnia" zadanie to powierzono kol. Sienkiewiczowi. Fatalne skutki tej decyzji obejrzeć można na fotomontażu obok. Niżej podpisana spółka autorska nie przyjmuje za to żadnej odpowiedzialności.

SPÓŁKA AUTORSKA „NOWIN TYGODNIA"

ZESPÓŁ „NOWIN TYGODNIA"

Na fotomontażu zespół „Nowin Tygodnia" obraduje nad nowym numerem. Od lewej: Zdzisław Jagielski, Jerzy Pis kor, Jerzy Sienkiewicz i Stanisława Dubyk, na stole leży kiel. W górze unoszą się muzy natchnienia Zdzisława Jagielskiego i Jerzego Sienkiewicza. W drugim rzędzie od lewej Jachszaroni, Obserwator (leży — jak i sporo jego felietonów), Fakir Kara-Rumu (opracowujący rubrykę „Nie trudno zgadnąć"), dr Zygmunt Konarzewski (specjalista filatelistyczny), oraz Krystyna Miś — protokołująca zebranie.

AKTYW „NOWIN TYGODNIA"

Na fotomontażu prezydium narady aktywu „Nowin Tygodnia". Od lewej: Jerzy Pieśniarowicz, Jan Grygiel, Tadeusz Stanisz, Roman Prokulewicz Władysław Misiewicz, Franciszek Błoński i Maria Wolańska. Na fotomontażu niewidoczni są: Irena Pitulanka, Adam Wójcik, Jerzy Lis, Maria Wołodarska, Józef Jachowicz Franciszek Swider, Franciszek Kotula i wielu, wielu innych.

IDZIE O WIELKĄ SPRAWĘ

(Wypowiedź w związku z artykułem pt. „Krytyka to nie histeria")

TOCZĄCA się od pewnego czasu na łamach „Nowin Rzeszowskich" dyskusja, poświęcona zagadnieniom kultury i sztuki wywołała wśród znakomitej większości ludzi pracy ogromne zainteresowanie tematem, poruszyła serca i umysły.

Dyskusję zapoczątkował Franciszek Grabowski artykułem zatytułowanym: „Krytyka to nie histeria".

W parę dni później pojawiły się już dalsze wypowiedzi, poglądy, jakże odmienne od tych, które głosił Grabowski.

Dyskutanci polemizując z autorem artykułu „Krytyka to nie histeria" usiłowali mniej lub bardziej udolnie, dokonać moralnej i politycznej oceny minionego okresu historycznego, wskazać na źródła wypaczeń i błędów, które w konsekwencji doprowadziły do porażenia umysłów, do okaleczenia świadomości.

Nie chciałbym tutaj powtarzać w kółko tych samych prawd i argumentów, skądinąd słusznych, którymi poprzednicy moi gromią autora wspomnianego artykułu.

Dodam od siebie: reakcja na artykuł Franciszka Grabowskiego — to pocieszające symptomy rodzącej się myśli, to kategoryczne przeciwstawienie się „dretwej mowie", skrzętnie kryjącej w sobie wszystkie zachcianki i ciągoty do tamtych dni.

Wyczuwam podskórnie, że Grabowski pisząc swój artykuł mocował się z sobą samym i zapewne różne myśli latały mu wtedy po głowie.

Ale spójrzmy na fakty.

Z króciutkich, fragmentarycznych rozmów z ludźmi interesującymi się tą dyskusją, doszedłem do przekonania, że Grabowski zdenerwował i zaniepokoił czytelników samą formą wypowiedzi, doborem słów, nie zawsze smacznych i właściwych. Momentami zachowywał się krzykliwie i wyzywająco. A niektóre jego sformułowania i zwroty miały iście wiecową temperaturę.

Nie ulega wątpliwości, że właśnie ten ostry, jak zgrzyt żelaza po szkle, sposób wyrażania przez Grabowskiego sądów i sugestii narobił w tutejszych środowiskach twórczych niemało hałasu.

Jedni przyjęli artykuł z pewnym niedowierzaniem, inni z oburzeniem, a jeszcze inni, a byli i tacy, z rozczarowaniem.

Kazimierz Brandys napisał kiedyś, że postęp to likwidowanie ludzkiego strachu. Obawiam się mocno, że Franciszek Grabowski zapomniał o tej prawdzie i chłostając Ważyka, nie potrafił się jeszcze wyzwolić z magnetycznej siły kultu jednostki.

Jednym słowem, Grabowski zagrał nam na starym, sfatygowanym patefonie marki „schematyzm", oklepaną melodię z okresu komenderowania sztuką.

Nad tym właśnie problemem, tj. problemem komenderowania sztuką chciałbym się dłużej zatrzymać.

Ponieważ reprezentuję sobą dyscyplinę sztuki scenicznej, będę na podstawie pewnych faktów i przykładów, analizował sytuację jaka zaistniała w teatrze w okresie komenderowania sztuką.

Jak wiadomo, teatr łączy w sobie niemal wszystkie najważniejsze, pryncypialne dziedziny sztuki: żywe słowo, plastykę, muzykę.

Nic też dziwnego, że obok literatury, teatr najsilniej od działywuje na wyobraźnię widza, kształtuje jego oblicze moralno - ideowe, wychowuje i uczy. Chcąc jednak temu zadaniu podołać, teatr musi przede wszystkim wzruszyć widza, wywołać w nim odpowiednie stany uczuciowe. Tymczasem okres odgórnego administrowania sztuką narzucił teatrowi taki plan repertuarowy, że słowo najważniejsze: teatr artystyczny przestało odgrywać tu jakąkolwiek rolę. Ze sceny powiało nudą. Szkodliwa polityka kulturalna sprytnie inspirowana przez różnych doktorów Faulów, nakazywała teatrowi kształtować obraz rzeczywistości według ostatnich uchwał czy zjazdów.

Jeżeli na przykład rząd wydał dekret o konieczności mobilizowania społeczeństwa do walki ze stonką ziemniaczaną, wówczas znaleźli się w teatrze ludzie, którzy do przygotowywanej przez teatr współczesnej sztuki dopisywali, ni w pięć ni w dziewięć, następujący dialog:

Ona: A gdzie to idziecie, kumie?

On: A idę do gminy, zapytać w co mam łapać stonkę ziemniaczaną.

JÓZEF JACHOWICZ jako Marchbanks w „Kandydzie" — G. B. Shawa.

Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że podobnych problemów i konfliktów nie zawierały niektóre sztuki współczesne. Oglądaliśmy je na scenie Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej.

Nawet zawodowy teatr nie potrafił ożywić tych sztuk, uprawdopodobnić, bowiem brak w nich było żarliwej prawdy o naszych czasach, prawdy o współczesnej wsi.

A teraz pytanie. Komu potrzebny był wysiłek teatru nad taką sztuką? Aktorom? Nie! Może widzom. — A niby po co?...

Przyjść do teatru, zapłacić bilet li tylko po to, żeby wysłuchać przerobionego na dialog szkolenia ideologicznego? Wybaczcie, mili, ale to już jest swoisty sposób nabijania ludzi w butelkę.

Zgadzam się w zupełności, że sztuka winna mieć ścisłą więź z polityką. Nikt tego nie próbuje negować, bo sztuka i polityka wzajemnie się uzupełniają, przenikają. Weźmy dla orientacji pierwsze lepsze dzieło Mickiewicza lub Słowackiego, a przekonamy się natychmiast ile w tych książkach jest głębokiego patriotyzmu, umiłowania ojczystych stron, ile miłości do prostego ludu.

Aby jednak polityka spełniała w sztuce określone zadanie, musi ukazywać życie takim jakie ono jest naprawdę, bez lakierowania i fałszowania rzeczywistości.

I najważniejsze. Sztuka winna pobudzać wyobraźnię widza do szlachetnych czynów, wzmagań, rozwijać w nim uczucie piękna, pomagać człowiekowi dojrzeć w sobie samym wspaniałe obszary swych tesknot i marzeń.

I taki jest chyba sens naszej rewolucji kulturalnej.

Nie podobna dziś jednak mówić o pięknie w naszej literaturze, teatrze, muzyce, nie oczyszczając się całkowicie z brudów beriowszczyzny. Dlatego też trzeba i należy powiedzieć sobie wszystko, co przeszkadza, hamuje rozwój sztuki. W tej dziedzinie nie może być żadnych niedomówień.

Idzie przecież o wielką sprawę, o rozwój człowieka, jego odrodzenie moralne i duchowe.

Jest to osiągalne tylko w tym wypadku, kiedy uwierzymy w ludzi sztuki, naszych pisarzy, plastyków, reżyserów teatralnych. Musimy ich obdarzyć całkowitym zaufaniem, więcej, wywołać wokół nich atmosferę wolności, zapewnić im prawo samodzielnych, twórczych poszukiwań.

JÓZEF JACHOWICZ

Okruchy historyczno-literackie

NA KOŃ, POBUDKA!

MICKIEWICZOWSKIE zawołanie „O roku ów..." w odniesieniu do Galicji spełniło się nieco wcześniej, bo w 1809 r. Wtedy to pod naporem wojsk księcia Józefa — Austrjacy zmuszeni byli opuszczać ziemie zagarnięte w

I rozbiorze. Ludność niecierpliwie wyczekiwała na Polaków, choć pozornie poza linią walk panował spokój. Nie wszyscy jednak umieli utrzymać na wodzy swój temperament.

Ksawery Krasicki, wielki patriota i wojak, bratanek autora „Doświadczyńskiego" postanowił skrzyknąć co śmielszych przyjaciół i rozpocząć w ten sposób lokalną ruchawkę. Grupa Krasickiego zajęła Sanok. Ale powstańcom nie sprzyjało szczęście; czy zaskoczenie nie udało się, czy też w grę weszły inne czynniki, dość, że nieprzyjaciel otoczył uwolnione miasto. Polacy, siedzący na zamku, wobec przeważających sił musieli wycofywać się zeń pod osłoną nocy. Krasicki, niby kapitan na tonącym okręcie, pilnował porządku ewakuacji, czekając aż ostatni z żołnierzy przeprawił się przez San. Pozostał wreszcie sam...

Tymczasem po drugiej stronie rzeki czekali na dowódcę jego ludzie. Dłużył się czas, godziny upływały, a Krasickiego nie było widać. Ale nie zawiódł przyjaciół rycerz „bez zmazy i skazy". Gdy nadszedł odpowiedni moment, spiął konia ostrogami, przesadził ryzykownym skokiem wysoki mur zamkowy, po czym po stromej skale zjechał do Sanu, który przepłynął w bród. Później wśród zmiennych walk zdołał doprowadzić swą grupę do Zamościa.

Pamięć tego śmiałego wyczynu długi czas zachowała się wśród ludu. Opowiadano, że Krasicki skoczył wprost ze skały do Sanu, przesadzano i kolorzyzowano w szczegółach historii.

KONTERFEKT PIENIACZA

FRYDERYK JACIMIRSKI, jeden z bogatszych feudałów ziemi sanockiej w XV w. znany był szeroko bliższym i dalszym sąsiadom. Wystarczyło powiedzieć „miecznik sanocki" lub też „pan Fryderyk", a już każdy wiedział o kim mowa.

Fryderyk odznaczał się tem peramentem niezwykle wybujałym: chytrością i sprytem zdobył, powiększał i zaokrąglał majątek, którego dobra rozrzucone były w kilku sąsiednich ziemiach. Głównym

ośrodkiem jego władzy było miasteczko Jaćmierz, gdzie miał wójtostwo.

Nad wszystkimi majętnościami przeważało chyba umiłowanie procesów. Pełnej liczby spraw nie ustalono, gdyż Jacimirski pozywał kogo popadło — rodzinę, sąsiadów, obcych. Kiedy nie czuł się pewnym, umiał dzięki kruczkom prawniczym odraczać sprawę w nieskończoność. I tak jeden z jego procesów ciągnął się ponad 30 lat. Świadomość własnej siły pozwalała mu na lekceważenie pozwów. Wysłannikowi starosty oświadczył raz: — Chociażby starosta 30 razy nakazywał mi, abym się jawił, nie jawię się.

Ogromną przyjemność sprawiać musiało Jacimirskiemu uczestniczenie w rokach sądowych odbywających się w Sanoku. Stała obecność miecznika świadczy nie tylko o dbałości o własne interesy, ale też o potrzebie rozrywki, jaka niewątpliwie trapiła mieszkańców zaścianka szlacheckiego. Na rokach sanockich można się było zetknąć z bracią z Przemyśla, Przeworska czy Biecza. Zjawiał się tu czasem król wraz z całym dworem. Nic więc dziwnego, że Jacimirski nie przepuszcza żadnej okazji i bierze czynny udział w życiu politycznym.

Przy tych wszystkich cechach był to nieraz człowiek brutalny i gwałtowny. Jego 90-letni żywot mógłby dostarczyć tematu do interesującej powieści historycznej pt. „Pan Fryderyk, czyli pierwszy najazd na Rusi".

MĄŻ UCZONY Z PILZNA

GDYBYM BYŁ jedną nogą w grobie, a miał sposobność nauczenia się czegoś, to bym się jeszcze uczył". Zdanie to pochodzi od Szymona z Pilzna Maryckiego — humanisty i pisarza politycznego z XVI w. Marycki urodził się w 1516 r. jako syn mieszczanina pilzneńskiego. Nazwisko jego brzmiało prawdopodobnie Kociołek, gdyż Szymon zgodnie z panującą manierą humanistyczną zhellenizował je, biorąc za podstawę grecki rzeczownik „maris", co znaczy „kociołek do mierzeni płynów". W ślad za łacińskim „Mariciusem" poczęli Janocki oraz inni historycy nazywać Szymona z Pilzna Maryckim, i tak już pozostało do dziś.

Pierwsze wykształcenie odebrał Szymon prawdopodobnie w rodzinnym Pilznie. Po dalszych studiach w Krakowie i za granicą oraz uzyskaniu bakalaureatu filozofii, został Marycki wykładowcą Akademii Krakowskiej. Podczas swej działalności pedagogicznej ostro zwalczał skostnienie scholastyczne, hamujące swobodny rozwój nauk. Jego kampania na rzecz wprowadzenia greki na uniwersytet popierana płomiennymi wykładami mów Demostenesa o pokoju i wolności — odniosła wreszcie skutek. Wrażenie, jakie wywarł Marycki na młodym pokoleniu studentów oddał w łacińskim wierszu Piotr Royzjusz.

Marycki w poczcie mężów jaśnieje uczonych,
Pierwszy sztuk pięknych oraz nauk wyzwolonych
Świątynię twojej młodzi, Sarmacjo otworzył,
Czym krajowi pożytku, sobie czci przysporzył.

Charakterystyczne światło na Szymona z Pilzna rzuca

też przedmowa do mów Demostenesa „O pokoju", w której tłumacz pisze, że wydał je w tym celu, aby „nawoływania greckiego męża zagłuszyły dźwięk oręża w naszym czasie, w którym do tego stopnia wre wojna".

JACHSZARONI

Toporki kamienne w lecznictwie ludowym...

W okresie międzywojennym, do zbiorów Muzeum w Rzeszowie uzyskano niewielki pięcioboczny toporek z drobnoziarnistego piaskowca znaleziony w pobliżu miejscowości Trzciana (pow. Rzeszów). Na jednej z dwóch jego szerszych płaszczyzn, ograniczony trójkątną bruzdą, znajduje się rysunek piorunu. Druga strona toporka posiada dwa stosunkowo szerokie, pionowe żłobki. Obuch w chwili przejęcia przez Muzeum był rozłupany na trzy części. Po dokładnym obejrzeniu stwierdzono że:

a) toporek z Trzciany jest nieudolnym naśladownictwem topora kamiennego z młodszej epoki kamienia,

b) był on wykonany w celu przeprowadzania praktyk lekarskich (leczniczych),

c) wykonanie toporka — fałsyfikatu spowodowane było tym, że oryginalnego narzędzia neolitycznego o „odpowiednich właściwościach" potrzebujący nie mógł znaleźć,

d) rysunek piorunu zrobiono w celu wizualnego podkreślenia jego właściwości — to jest właściwości „kamienia piorunowego" za jaki był uważany przez poddającą się leczeniu ludność.

Toporki kamienne z młodszej epoki kamienia używane były w Polsce przez ludność wiejską do celów leczniczych i magicznych (w jednej ze wsi na Opolszczyźnie do roku 1941). Zabieg polegał zazwyczaj na pocieraniu miejsca bolącego; głowy, szczęki, przy reumatyzmie kończyn dolnych i górnych, powodował również zmniejszenie bólu piersi matek karmiących. Toporki kamienne służyły do leczenia bydła, szczególnie krów, które nie chciały dawać mleka. W związku z tym pocierano nim wymię, względnie udój odbywał się przez otwór toporka.

Leczeniem zajmowały się osoby uznawane przez ludność za znachorów lub wróży. Nie była to jednak reguła gdyż lecznicze i magiczne znaczenie kamienia znane było bardzo szeroko, a stosowane w gospodarstwie i poza jego obrębem przy wielu innych okolicznościach np. kamienie stosowane były do wróżb w czasie choroby. Toporek — fałsyfikat z Trzciany był prawdopodobnie własnością „lekarza-wróża". Świadczyłby za tym wykonany rysunek piorunu jak również to, że znaleziono go poza wsią w miejscu odosobnionym w zespole innych dwóch toporków niefalsyfikatów. Nasuwa się przypuszczenie, że nie wszystkie choroby leczone były jednym toporkiem i nie każdy z nich mógł być kamieniem piorunowym to jest „końcem piorunu".

Nie jest wykluczone, że niektóre toporki oprócz leczniczych właściwości zawierały siły magiczne wpływające na człowieka i jego otoczenie. Siły takie zawierał cały toporek i jego części. W związku z tym toporki ulegały kradzieży lub potajemnemu odbiciu. Poszkodowany starał się zawsze uzyskać narzędzie lub utracony fragment łącząc później poszczególne jego partie w całość. Magiczne znaczenie toporów jest prawdopodobnie odbiciem okresów kiedy służyły one jako broń.

Skoro mówimy o lecznictwie ludowym nie będzie od rzeczy wspomnieć skąd do naszego języka dostało się słowo lekarz. Wyraz ten przejęli Prasłowianie z języka gockiego (lekeis). Goci zapożyczyli go z języka celtyckiego. Pierwotne jego znaczenie określało człowieka trudniącego się leczeniem — zamawianiem choroby. Podobne znaczenie miał południowo słowiański wyraz b a l i j oraz w r a c z, wyraz wspólny Słowianom południowym i wschodnim. Wyraz zdrowie Aleksander Brückner wywodzi bezpośrednio od drzewa. To ostatnie wiąże się z przewiekaniem chorego przez szparę w rozszczepionym, zdrowym pniu drzewnym. (Prawdopodobnie najczęściej do tych praktyk używano dębu). Czynności takie były robione przez Słowian w okresie wczesnośredniowiecznym. Były one zabiegami magiczno-leczniczymi i miały na celu przywrócenie choremu zdrowia. Wydaje się prawdopodobne, że udój mleka przez otwór toporka praktykowany do niedawna w niektórych miejscowościach był spowodowany tym samym względem, to jest wiara w możliwości lecznicze stosowanego narzędzia. Narzędzia i przedmioty, które „odwracały" złe wpływy są to tzw. środki a p o t r o p e i c z n e, do których przypuszczalnie zaliczyć można by było toporek z Trzciany.

mgr. JÓZEF JÁNOWSKI

JAN GRYGIEL

* * *

I znów razem w tę noc majową
pod gwiaździstą marzeń ulewą...
Nadziejami kwitną nam słowa
jak w ogrodzie wiosenne drzewa.

Przytłumiły przyjazne cienie
srebrne błyski na naszych skroniach,
więc się nie wstydź rytmu wzruszenia
w zaplecionych, jak dawniej, dłoniach.

Może dla nas wstrzymał swe kroki
czas jaśminów i czas miłości?...
Miło milczeć w nocy głębokiej
o wieczystej porze radości.

Wiemy — miła — że jeszcze nieraz
życie będzie bić nas po twarzy,
że z rozpaczą będziemy zdzierać
czarne karty dni z kalendarzy.

Ale gorycz codziennych zdarzeń
nie ostudzi serc niecierpliwych,
bo ogrzeje je płomyk marzeń,
który w dłoniach dzisiaj chronimy.

(1956 r.)

Z WYSTAWY PRAC TWÓRCÓW LUDOWYCH
(prace B. LEWICKIEGO)

„KARMIĄCA MATKA"
(glina)

„BRATERSTWO BRONI"
(glina)

Kronika Kulturalna

W LESKU została otwarta w salach Powiatowego Domu Kultury wystawa prac twórców ludowych. Wśród zgromadzonych eksponatów znajdują się rzeźby w glinie i drzewie lipowym, obrazy olejne i akwarele, haft ludowy. Uzupełniają wystawę również kukiełki i dekoracje teatru lalek przy leskim PDK, które jednak niezupełnie harmonizują z charakterem wystawy.

Największą ilość prac reprezentuje twórczość utalentowanego rzeźbiarza ludowego, Bazylego Lewickiego — kierownika świetlicy w Hoczwi. Uwagę zwiedzających wystawę przykuwa zwłaszcza jego rzeźba matki karmiącej dziecko (glina) oraz kompozycja przedstawiająca walkę z wilkami. Wyrażamy radość, że inicjatywa Leska przyczyniła się do zorganizowania wystawy o zadowalającym — jak na pierwszą próbę — poziomie (powyżej zamieszczamy reprodukcje dwóch prac z wystawy).

* * *

WIERSZOM Jana Raka, chłopskiego samouka z Husowa (pow. łańcucki), który żyjąc w latach 1820 — 1909 pamiętał dobrze czasy pańszczyzny, poświęcono już niejeden artykuł. Realistyczne utwory Raka, walczące o postęp i uświadomienie klasowe wsi, przypomniały swoim czytelnikom przed trzema laty — w związku z Dniami Oświaty, Książki i Prasy — „Nowiny Tygodnia". Później ciekawy reportaż z rodzinnej wsi poety, gdzie pamięć o Raku jest do tej pory żywa, ogłosił na łamach „Nowej Kultury" dr Tadeusz Staniszewski. Możemy także stwierdzić z radością, że ukazał się w r. 1953 obszerny wybór 31 utworów Raka opracowany z rękopisów przez Stanisława Czernika, jako pierwsza pozycja „Biblioteki dawnych pisarzy chłopskich Ludowej Spółdzielni Wydawniczej". Ta cenna próba metodycznego źródłowego opracowania twórczości rzeszowskiego chłopa pańszczyźnianego miałaby niewątpliwie wielkie znaczenie, gdyby nie fakt, że wiersze Jana Raka ukazały się w minimalnym nakładzie (zaledwie 2.163 egzemplarze) i daremnie szukalibyśmy ich w wielu punktach bibliotecznych i świetlicach naszego województwa. W ten sposób Jan Rak — tak oryginalne zjawisko pisarstwa ludowego pozostał nadal na swojej ziemi poetą prawie nieznanym. Czy słusznie? Wydaje się nam, że właśnie dzisiaj utwory Raka, które podkreślają łączność klasową chłopa polskiego i ruskiego, stare tradycje braterstwa i przyjaźni — zasługiwały z wielu względów na upowszechnienie.

* * *

WYMIANA teatralna między Rzeszowem i Tarnowem w wyniku porozumienia dyrekcji Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej i dyrekcji Teatru im. Ludwika Solskiego umożliwiła mieszkańcom Rzeszowa poznanie dwóch przedstawień tarnowskich, a mianowicie fredrowskiej komedii „Ożenić się nie mogę" oraz „Marianny Pinedy" — ciekawej sztuki poetyckiej, którą znakomity poeta hiszpański Federico Garcia Lorca, zamordowany przez faszystów nieopodal Grenady w 1936 roku, poświęcił bohaterce ruchu wyzwoleńczego z czasów Ferdynanda VII.

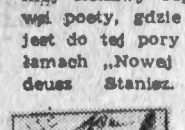

„Ożenić się nie mogę" reżyserowała Irena Gulska — Elle, sztukę Lorki zaś — Barbara Bormann. W tym samym czasie, kiedy teatr tarnowski grał w Rzeszowie, Państwowy Teatr Ziemi Rzeszowskiej występował gościnnie w Tarnowie z „Intrygą i miłością" Schillera w reżyserii dyr. Hugona Morycińskiego.

* * *

DZIEJE KSIĄŻKI obrazuje okolicznościowa wystawa przygotowana przez Muzeum Okręgowe w Rzeszowie z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy. Wśród eksponatów zobaczyć można m. in. autentyczne tzw. inkunabuły czyli pierwociny drukarstwa (incunabula typographica — kołyski drukarskie, niby „druki w kołysce" — jak przyjęto nazywać dzieła, które wyszły spod prasy w XV wieku. Możemy także podziwiać na wystawie jeden z najstarszych zielników Szymona Syreniusa, Kronikę Jana Długosza, utwory Jana Kochanowskiego wydane w 1617 r., tom Wielkiej Encyklopedii redagowanej przez Diderota i d' Alamberta doskonale zachowane ozdobne oprawy z XVI w. oraz stare rękopisy na pergaminowych kartach. Wystawa ta powinna zainteresować nie tylko młodzież szkolną, ale i dorosłych miłośników książki, a takich z pewnością w Rzeszowie nie brakuje.

* * *

ZAINTERESOWANIOM technicznym powinna bardzo odpowiadać przygotowana w Wojewódzkim Domu Kultury Zw. Zaw. wystawa „Książka i prasa techniczna niezawodną pomocą w opanowaniu wysokiej techniki przez ludzi pierwszej 5-latki". Na uwagę zasługują plansze i stoiska wykonane przez Związek Artystów Plastyków w Rzeszowie. Ponadto Gabinet Propagandy Prod. Techn. WDK zorganizował spotkanie najbardziej aktywnych czytelników i autorów książek technicznych z przedstawicielami Państwowego Wydawnictwa Technicznego ogłaszając konkurs na najlepszą recenzję z książki technicznej — z cennymi nagrodami.

* * *

ORYGINALNE widowisko przygotowało w Jarosławiu Ognisko Baletowe przy współpracy Liceum Kulturalno-Oświatowego i Szkoły Muzycznej. Jest to jak gdyby przegląd rozwoju tańca na tle dziejów — od prehistorycznego łuczywa do żarówki elektrycznej oświetlającej wnętrze współczesnej świetlicy. Widowisko nosi tytuł „W sto par koni pędzi czas" i zostało opracowane według scenariusza prof. Lidii Nartowskiej pod reżyserskim kierownictwem prof. Danuty Markowskiej. Wszystkie układy taneczne również prof. Nartowskiej. W widowisku udział bierze ponad 100 wykonawców. Spodziewamy się, że po premierze w Jarosławiu warto by to barwne i roztańczone widowisko pokazać mieszkańcom Rzeszowa i Przemyśla.

* * *

ZESPÓŁ z Surochowa (pow. jarosławski) bardzo starannie, z dużym wkładem pracy przygotował do „Przeglądu Wiejskich Zespołów Teatralnych" „Pieją koguty" — Bałtuszisa. Niemała w tym zasługa reżyserującej sztukę miejscowej nauczycielki ob. Stanisławy Zając i energicznego kierownika świetlicy ob. Józefa Pajdy. Świetlica w Surochowie ma do dyspozycji salkę teatralną z niewielką ale przyjemną sceną.

Niestety, poważnie utrudnia normalny przebieg przedstawień brak garderoby, wskutek czego aktorzy, ażeby dostać się na scenę — muszą przechodzić przez całą widownię. Ambitni surochowscy świetlicznie chcieliby wykonać tę konieczną inwestycję własnymi siłami, oczekują jednak pomocy od Prezydium PRN w Jarosławiu w uzyskaniu potrzebnych materiałów budowlanych.

* * *

W BUDACH ŁAŃCUCKICH wyróżnia się praca zespołu teatralnego. Ma on w swoim dorobku „Zaloty" Kupały, a potem nawet „Moralność pani Dulskiej" G. Zapolskiej. Do „Przeglądu Wiejskich Zespołów Teatralnych" świetlica w Budach Łańcuckich przygotowała jednoaktówkę „Latawiec", wydrukowaną w czasopiśmie „Praca świetlicowa".

Praca kulturalno - oświatowa mogłaby mieć w tej gromadzie o wiele większe osiągnięcia i wyniki, gdyby Wojewódzki Zarząd Związku Samopomocy Chłopskiej przyśpieszył decyzję ukończenia budowy budzkiego Wiejskiego Domu Kultury.

* * *

W GROMADZIE Trzeboś (pow. Kolbuszowa) istnieje 36-osobowy zespół dramatyczny, który opracował ostatnio komedię Mikołaja Gogola „Rewizor". Jak donosi korespondent „Kroniki kulturalnej" ob. Władysław Ożóg, zespół ten ma bogate tradycje, związane z aktywną działalnością oświatową i artystyczną w latach 1947 — 48. Wszyscy amatorzy — stwierdza nasz korespondent — rolnicy, urzędnicy, członkowie partii i bezpartyjni, starsi i młodzież, pracują z wielkim zapałem, znajdując w zespole teatralnym rozrywkę kulturalną oraz okazję do pogłębienia swoich zainteresowań.

KRONIKARZ

Rys. JERZY SIENKIEWICZ

NIE TRUDNO ZGADNĄĆ — NIE TRUDNO ZGADNĄĆ — NIE TRUDNO ZGADNĄĆ — NIE TRUDNO ZGADNĄĆ —

REBUS

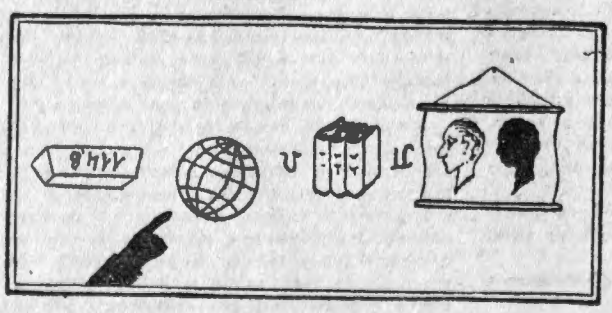

Odczytać pięciowyrazowe, aktualne rozwiązanie.

KALAMBURY

I. Gdy plecionkę się napełni
— — — —